

ANNA ONICHIMOWSKA

# ZEGNAJ NA ZAWSZE

↓ ↓ ↓  
WSIADAM  
DO AUTOBUSU,  
NIE MAM  
PORTFELA,  
BIETÓW,  
PIENIĘDZY,  
CIEKAWÉ,  
CZY ZŁAPIÉ  
MNIÉ KANAR.

NIC MNIE TO  
NIE OBCHODZI,  
PUSTE KIESZENIE  
DAJĄ MI UCZUCIE

WOLNOŚCI

NIKT NIE  
MOŻE MNIE  
OKRAŚĆ

NIKT NIE  
MOŻE MNIE  
SPRAWDZIĆ



Anna Onichimowska

ŻEGNAJ NA ZAWSZE  
SAMOTNE WYSPY – TOM 2

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-86-6

Copyright © Anna Onichimowska

Projekt okładki: Olga Bołdok

## Rozdział 1

Wydawało mi się, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Bolały mnie kości, mięśnie, wszystko. Tłumiąc ziewanie, spjrzałam na zegarek. Dwadzieścia sześć godzin jazdy...

– Będziemy mieć opóźnienie. – Siedząca obok kobieta złowiła mój wzrok. – Że też człowieka nie stać na samolot... – westchnęła.

Nie miałam ochoty na rozmowy. Odpowiedziałam cokolwiek i rozłożyłam przed sobą gazetę.

– Zna pani francuski? To piękny język... – Sąsiadka nie rezygnowała, zerkając przez ramię.

– Tak. Bardzo ładny.

Z trudem brnęłam przez poszczególne zdania. Często znałam słowa, ale nie potrafiłam ich zlepić w sensowną całość. Muszę się za to wziąć, pomyślałam. Muszę się wziąć za tyle rzeczy... Zamknęłam oczy. Pod powiekami zamajaczyły mi znowu smukłe ciemnoskóre dziewczyny z pokazu u Cardina. Siedziałyśmy z ciotką tak blisko wybiegu, że prawie czuło się zapach ich perfum.

Nagle zdałam sobie sprawę, że bardziej pamiętam twarze modelek, ich ruchy, uśmiechy niż prezentowane kreacje. To już zboczenie, westchnęłam w duchu. Co mnie opętało?! Ale wyobraźnia podsuwała mi obraz dziewczyny, której twarz codziennie oglądałam w lustrze, na miejscu tych Mulatek i Murzynek. Miałam w uszach jedną z melodii, w rytm której tańczyły, i nogi same podrygiwały mi, już chętne, aby wyjść na wybieg.

Uspokój się, uszczypnęłam się lekko w rękę i wyrzałam przez okno. Mijaliśmy zieleniejące pola i zapuszczone obejścia. Gdzieniedzie niewielkie laski, pasące się krowy... Spróbowałam znaleźć wygodniejszą pozycję, nie było to łatwe.

– Ja też ledwo siedzę... – zagała sąsiadka. – Wie pani, tak się przyglądam i myślę sobie, że jest pani trochę podobna do mojej córki... Tylko że ona ostrzygła się na fanka...

– Na punka? – prostuję niepewnie.

– Takie coś tu podgolone, tu na biało, a tu ma zieloną kępkę... Wygląda tak, że wstydę się do niej przyznać. A taka była ładna... – Zrywa się, ściąga torbę, wyjmując portfel, z niego zdjęcie. – Proszę...

Nie widzę podobieństwa. Dziewczyna ma pospolitą, regularną twarz. Trudno o niej cokolwiek powiedzieć. A jednak coś się w niej kotłuje, myślę, skoro gania na zielono.

– Jak ma na imię? – pytam, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Ludwika. To po babci – słyszę i przez chwilę myślę, że to mógłby być jeden z powodów.

– Jak pani do niej mówi? – Nagle wydaje mi się to ciekawe.

– Lusia.

– Nie znam żadnej dziewczyny o tym imieniu.

– No właśnie. – Kobieta puchnie z dumy.

Zamykam znów oczy. Nawet niczego nie demonstruję, po prostu strasznie chce mi się spać. Słyszę jeszcze, że sąsiadka coś mówi, ale nie rozumiem słów, w półśnie zaczynam się zastanawiać, czy Maciek będzie na mnie czekał, jak obiecał.

Wyobrażam sobie jego twarz, mam ochotę jej dotknąć, Boże, jak ja się stęskniłam.

Idę przy jego boku. Śnieżycy jest taka, że prawie nie widać drogi. Trzymamy się za ręce, nagle ja potykam się i pociągam go za sobą. Jaki miękki śnieg, śmieję się, a on zaczyna mnie całować. Robi się coraz cieplej, rozpina mi kożuch, podciąga w górę sweter... „Zostaw” –

mruczę, widzę na jego głowie białą czapę – „zasypie nas, ty wariacie”. Ale on nie przestaje, to jest takie przyjemne, niech się dzieje, co chce. Z zamieci wyłania się jeleń, ma poroże z lodu i niebieskie oczy. „Nie patrz, nie patrz” – szepczę. „Dziękuję państwu za wspólną podróż” – mówi jeleń, on zwariował, myślę, twarz Maćka oddała się nagle, uchylam powieki.

Sąsiadka patrzy na mnie, ma dziwną minę, robi mi się głupio.

– Zasnęłam – mówię.

– Zauważyłam. – Kiwa głową. – Dojeżdżamy, wie pani?

Za szybą migają znajome bloki, stajemy na światłach, wyciągam z torebki lusterko. Nie wyglądam kwitnąco. Szczotkuję włosy, pudruję nos, chociaż tyle, żebyś się nie przestraszył.

– Półtorej godziny po czasie – jęczy kobieta. – Mój miał się urwać z pracy. Ale tyle nie będzie mógł czekać... – dalej mówi coś o taksówkach, wyjaśnia, gdzie mieszka.

Już wcale nie słucham, serce mi wali. Będziesz czy nie będziesz, wróżę sobie twoją obecność. Jeśli w autobusie jest więcej blondynek niż brunetek, będzie... Odwracam się, unoszę z siedzenia, liczę... coś mi się nie zgadza, co zrobić z tą rudą, zaczynam się zastanawiać, jej nie przewidziałam... Autobus podjeżdża pod dworzec, przestaję liczyć, rozglądam się, nie ma, odpowiadam coś na pożegnanie sąsiadki i przesuwam się do wyjścia.

Spaliny i słaby zapach wiosny. Łagodny wiatr rozwiewa mi kurtkę, wpatruję się w luk autobusu, kierowca wyładowuje bagaże, schylam się po torbę, wyprzedza mnie męska dłoń...

– Maciuś... Maciuś... – szepczę, wtulona już w jego bluzę. Podnosi mi twarz do góry.

– Ładnie tak się spóźnić? – pyta i zaraz całuje mnie mocno.

– Myślałam już, że cię nie ma... – mruczę, zamykam oczy.

– Radziłbym się przespać w domu... – ostry męski głos.

Gruby facet obładowany torbami roztrąca wszystko, co żyje. Za nim drepcze moja sąsiadka. Posyła mi przepaszająco-szczęśliwe spojrzenie. Maciek sztywnieje, zaraz będzie awantura, gładzę go po głowie, rozluźnia się.

Patrzę w ślad za nimi. Dobrze, że na nią czekał, myślę, nie czując nic prócz współczucia.

– Jedziemy do domu. – Maciek macha na taksówkę. – Masz klucze?

– Mam.

Siedzimy na tylnym siedzeniu, jego dłonie szukają mnie bezustannie, widzę jak kierowca filuje w lusterko.

– Poczekaj... – szepczę.

– Twoja mama dziś pracuje. Dzwoniłem do niej... – Uśmiecha się. – A Gruby wraca po południu.

– Tak samo jak ojciec? – Odwzajemniam uśmiech, czuję to samo co on, o ile można wiedzieć, co czuje ktoś drugi.

Przed domem nie natykamy się na nikogo, mieszkanie jest puste.

– Poczekaj... – Wywijam się z jego objęć. – Zadzwoń do nich najpierw, tak będzie lepiej...

Wykręcam znajome numery, melduję, że wróciłam, daję do zrozumienia, że nadawać się do rozmowy będę dopiero wieczorem, tak, jestem zmęczona, tak, muszę się wyspać, niech się nie spieszą. Maciek zaczyna już mnie rozbierać, więc kończę i odkładam słuchawkę.

Uciekam do łazienki, zamykam się, żeby nie wlaził, póki nie będę gotowa i wchodzę pod prysznic.

\*

Leżymy w sennym odrętwieniu, moja twarz na piersi Maćka, za oknem ptaki krzyczą, że wiosna.

– Wiesz, tam już jest zupełnie zielono. Było tak ciepło, że mogłam łązić bez kurtki – mówię.

Przez uchylone zasłony widzę nabrzmiałe pąki na kasztanie.

– Opowiesz o Paryżu? – pyta.

Ziewam, zmęczenie daje o sobie znać.

– Rozumiem. – Śmieje się i całuje mnie w nos. – Ale mam nadzieję, że nie jest to definitywna odpowiedź?

– Nie, nie jest... – Unoszę się na łokciu, patrzę na zegarek.

– Masz rację. – Już wstaje, sięga po dzinsy. – Z Grubym nigdy nic nie wiadomo. Wolałbym być ubrany, kiedy przyjdzie.

To obłudne... Przecież Gruby wie. I domyśla się, że skoro Maciek po mnie wyszedł... Nie widzieliśmy się dziesięć dni. Nagle wydaje mi się to nieprawdopodobne. Tylko tyle? Wydawało mi się, że każdy dzień trwa miesiąc.

Uśmiecha się, przysiadła na brzegu łóżka, już gotowy, żeby mnie zostawić. Nagle senność gdzieś się ulatnia.

– Dostałeś mój drugi list? – pytam.

– Wczoraj.

Nie rozwija tematu, próbuję sobie przypomnieć, co tam napisałam, ach tak, to było po pokazie u Cardina...

Nie będę nic o tym mówić, postanawiam nagle. On na to źle reaguje. Nie może się przyzwycząić, że tak zarabiam.

– Jak święta? – zmieniam temat.

– Irenka upiekła dwa ciasta... – Śmieje się. – Chyba po raz pierwszy w życiu. Kupiła sobie fartuszek w kwiatki, żeby ładnie wyglądać przy stolnicy i obstawiła się podręcznikami. Mówię ci, kupa śmiechu...

Próbuję sobie wyobrazić jego matkę przy foremkach, idzie mi to z trudem.

– No i jak, udały jej się? – pytam.

– Tak. Mazurek i sernik. Rafał był z niej taki dumny, aż miło patrzeć. W ogóle miło na nich patrzeć... – dodaje.

Czuję w jego głosie gorycz. On znowu jest z boku, myślę. Przytulam się, całuje mnie najpierw lekko, potem coraz mocniej.

– Stęskniłem się – mruczy mi do ucha.

– Ja też... ja też... – Chciałabym znów go rozebrać, ale to zaczyna być niebezpieczne, wydaje mi się, że ktoś próbuje otworzyć drzwi, zrywam się przerażona.

– To u sąsiadów... – uspokaja mnie, ale zarzucam kapą łóżko i wskakuję w dres.

– Tak jest lepiej – mówię i siadam w fotelu.

– Nie powiedziałbym...

– Jak tam Jasiek? – Wypuszczam go na ulubiony temat. O braciszku mógłby godzinami.

Opowiada, że zaczyna siadać, że go poznaje, co i jak gada, słucham i myślę, że kiedyś będzie dobrym ojcem.

– Skleroza! – przerywam mu nagle, walę się w czoło i pędzę do torby.

Wywalam ciuchy jeden za drugim, sterta rośnie, dlaczego nie spakowałam tego po ludzku, złość się na siebie i wtedy trafiam na dwie paczuszki, nareszcie...

– To dla ciebie, a to dla Jaśka. – Wręczam prezenty.

Rozjaśnia się, rozrywa papier.

– Możesz tym malować podobno na wszystkim. „Szkło, ceramika, ściany, materiał, papier, skóra...” – zaczynam tłumaczyć.

– Rozbieraj się. Zrobię ci śliczny rysunek...

– Gdzie? – Śmieję się.

– Może na plecach, może trochę niżej, a może na udzie... – Siada na poręczy fotela, wodzi palcem po wymienianych miejscach.

– Najpierw trzeba zobaczyć, jak to się zmywa... – Próbuję zrozumieć francuską instrukcję.

– Może w ogóle. Może zrobię ci tatuaż. To bardzo modne...

Nie wiem, czy Maciek mówi serio, nie zawsze go wyczuwam, na wszelki wypadek obciążam znacząco rękawy i nogawki w geście obrony.

– Nie wierzysz w kunszt artysty... – mówi z udanym smutkiem. – Mogłabyś sobie zamówić dowolny temat. Serce przebite strzałą albo kotwicę, albo moją podobiznę... No, daj mi się pobawić... – Zbliża się z granatowym flamastrem. – Chociaż mały kwiatusek, przy kostce... – Łapie mnie za stopę, wywijam mu się z paniką.

On rzeczywiście chciał to zrobić... Wcale mi nie do śmiechu. Pojutrze mam pokaz. Tego mogliby nie ścierpieć.

Wydaje się czytać w moich myślach, patrzy ironicznie, podwija rękaw i rysuje sobie serce przebite strzałą.

– To moje – mówi.

– Odbiło ci. – Wzruszam ramionami i żałuję, że mu nie kupiłam czegoś innego.

– Jestem wolny człowiek. Mogę się zamalować cały, od małego palca po czubek głowy.

Tylko nie wiem, czy byłoby ci ładnie, myślę, ale zaciskam zęby i nic się nie odzywam. Niech się wygada. Nagle zdaję sobie sprawę, że robię to samo, co moja matka, kiedy ojciec plecie trzy po trzy. Zawsze gniewało mnie, że jest potulna.

– Więc się zamaluj. – Staram się, żeby mój głos brzmiał obojętnie, chociaż cierpnę ze strachu.

Obserwuję jego napiętą twarz, zastanawia się, jak zareagować, w końcu wzrusza ramionami.

– Dziś nie mam inwencji. Innym razem. – Odkłada flamaster, sięga po paczkę dla Jaśka.

– Może on sam rozpakuje? – pytam. – Nie wiem, czy będzie umiał rozedrzeć papier, ale w tym można mu pomóc...

Maciek się zgadza, chociaż widzę, że jest ciekaw, co kryje bibułka. Dotyka jej, chcąc odgadnąć kształt, naciska, potrzasa. – Widzę, że powinnam przywieźć dwa króliki – mówię ze śmiechem, od razu odkłada paczkę.

Tym razem klucz zgrzyta w moich drzwiach. Gruby hałasuje jakiś czas przy wejściu, guzdrze się, daje nam czas, pocziwy braciszek. Wybiegam mu naprzeciw, zawisam na szyi.

– Hej, paryżanko... – Klepie mnie po plecach jak konia, ciągnę go za warkoczyk.

– Hej, Kriszna... Jak tam pierogi?

Wyjmuje z torby sporą paczuszkę, czuję wilczy głód, zapomniałam, że dziś nic nie jadłam.

– Pójdę już... – Za mną staje Maciek. – Sie masz, Gruby.

– Gdzie się spieszysz? – Gruby krząta się energicznie.

Jak dobrze, myślę, nie stać mnie na zbędne ruchy, znów czuję senność.

– Muszę być w domu. – Maciek ściska Jańską paczkę, jakby była bryłą złota.

Nie było mnie dziesięć dni. Mógł to jakoś załatwić. Robią z nim, co chcą.

Musiał coś zauważyć, bo obraca do siebie moją twarz, patrzy mi w oczy.

– Nie bądź złością – słyszę.

Gruby nie zwraca na nas uwagi, wali garnkami, rozgrzewa olej na patelni.

– Irenka idzie pewnie do kosmetyczki? – cedzę przez zęby.

– Do lekarza...

No tak, a Rafał jest w pracy, wszystko się zgadza, ale i tak nie chcę tego przyjąć do wiadomości, powinien dzisiaj być ze mną, krzyczy mi coś w środku, na przekór rozsądkowi i senności, która mnie ogarnia ze zdwojoną siłą.

– No to idź – mówię zimno, nie chciałam, żeby tak to wyszło, ale słowa już wyleciały. Oczy Maćka ciemnieją z gniewu. – Przepraszam... – Przytulam się do niego, to bez sensu, dlaczego kiedy jesteśmy razem, ciągle się ścieramy?

Całuje mnie w czubek głowy, gładzi po twarzy i bez słowa wychodzi.

Czuję zapach spalenizny, z patelni się dymi, Gruby stoi na progu i gapi się na mnie. Z drewnianej łopatki kapie tłuszcz na podłogę.

– Co ci? – pytam. – Co się stało?

– Baśka chyba jest w ciąży – mówi, odwraca się ode mnie i wlecze do kuchni.

Pierogi są częściowo spalone. Siedzę przy kuchennym stole, wygrzebuję widelcem wegetariański farsz, normalnie za nim przepadam, ale teraz trudno mi przełknąć cokolwiek.

– Jedz, bo wystygnie... – Gruby kolebie się na stołku, nerwowo skubie rękaw buddyjskiej szaty.

– A ty?

– Nie mogę już na to patrzeć – przyznaje.

Fakt. Gdybym biegała z nimi na tacy od paru miesięcy, też bym nie mogła.

Smakuję nadzienie z warzyw i ziaren, wydaje mi się ostrzejsze niż normalnie, a może po prostu zdążyłam się odzwyczaić. Burczy mi w brzuchu, nie jadłam ze dwadzieścia godzin, ostatnio były to kanapki w autobusie, jeszcze pewnie w Belgii, nie pamiętam.

„Baśka chyba jest w ciąży” tłucze mi się po głowie, widzę, że Gruby czeka, co powiem, jakby moje słowa mogły cokolwiek zmienić.

Odsuwam wreszcie talerz, sięgam po herbatę.

– Ewka... – Zawisa błagalnie na moich wargach.

– Co to znaczy: chyba?

– No... nie jest jeszcze pewna.

Nic nie rozumiem. Skoro nie jest pewna, po diabła o tym mówi? Coś mi się tu nie podoba.

– Testy kontrolne można kupić w każdej aptece. W parę minut rozstrzygają wątpliwości.

– Nie znam się na tym – przyznaje.

– Nie musisz. Cięża ci raczej nie grozi...

– Pewnie Baśka nic o tym nie wie. Zadzwoń do niej... – Wypada jak bomba.

Zmywam naczynia. Jest ode mnie starsza, myślę. I nie jest ciemna. To niemożliwe, żeby nie słyszała o testach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJA